

Stanisław Jastrzębski
Chorzów
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Okno w okno z banderowcami¹ **(Wspomnienia małoletniego żołnierza AK)** **Cz. I**

Od Autora:

Od 17 września 1939 r. Sowieci wykreowali sobie Kresy Południowo-Wschodnie na odwieczne ziemie Ukrainy, rzekomo zabrane im przez Polaków przed wieloma laty. W rzeczywistości - niesyty ciągle zdobywca Stalin zapragnął poszerzyć granice Związku Radzieckiego po linię Curzona. Taka bowiem część Polski przypadła mu w podziale uzgodnionym z Hitlerem w sierpniu 1939 r., a 17 września ziemię tę już zawłaszczył.

Dopiero kilka lat później dowiedziałem się, że o przyszłym kształcie Europy Środkowo-Wschodniej zdecydowali: Roosevelt, Churchill i Stalin w Jałcie, Moskwie i Teheranie.

Kresy Wschodnie nie były tylko - jak chcą niektórzy - mitem polskiego romantyzmu, ale zwyczajnym, codziennym życiem zamieszkałych tam Polaków. Odpowiedzialność za ustalenie nowych granic spada na polityków zachodnich, a zwłaszcza na angielskiego premiera. Ale czy można dziwić się takiej polityce, skoro osobistym doradcą Churchila w tamtym czasie był niejaki Bajkołow, cieszący się dużym zaufaniem władz angielskich, który był sowieckim szpiegiem?

Utrata Kresów Wschodnich była dla Polski nie tylko stratą terytorialną. Była to najbardziej rzeczywista tragedia zamieszkałych tam Polaków. Ta ogromna połać ziemi została bardzo szybko zdewastowana przez radziecką gospodarkę, a z owoców wiekowej, twórczej pracy Polaków korzystają inne narody. Nikt też nie bronił polskich Kresów - ziemi i ludzi jęczących pod siekierą i nożem banderowskim. O okrucieństwie tym świat dopiero dziś się dowiadyje. Ludobójstwo ujawniło prawdziwe oblicze ukraińskich nacjonalistów i ich ideologii.

W 1944 roku, kiedy wojna dobiegała końca, około 8.000 żołnierzy z tzw. galicyjskiej dywizji SS znalazło się w brytyjskim obozie Rimini we

¹ Jest to wybór z książki pod tym tytułem, autorstwa Stanisława Jastrzębskiego, Wyd. Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1996, wyd II uzupeł. za zgodą Autora.

Włoszech. Ale Brytyjczycy nie uwięzili ich w obozach dla przestępców, nic też nie uczynili dla ukarania zbrodniarzy wojennych za zbrodnie popełnione w Małopolsce Wschodniej na Żydach, i na Polakach. Na podstawie noty dyplomatycznej Watykanu zbrodniarzy tych sprowadzono do W. Brytanii, gdzie przyznano im status wolnego osiedleńca. Wielu z nich otrzymało dokumenty na fałszywe nazwiska, co umożliwiło im uzyskanie zezwoleń na pobyt stały we Włoszech oraz na otrzymanie wiz emigracyjnych. Stolica Apostolska wykazała wówczas wielką troskę o ukraińskich nacjonalistów w niemieckiej służbie, mających na swych rękach krew niezliczonych ofiar. Wręcz na ironię zakrawa fakt, że banderowcy zgrupowani w galicyjskiej dywizji SS zostali uprzywilejowani właśnie dzięki wstawiennictwu Watykanu². Część z nich wyjechała do krajów zachodnich, część - podając się za Polaków - została przyjęta do armii gen. Andersa, a tym samym uniknęła kary za zbrodnie. Tylko Amerykanie nie liczyli się z tymi "uchodźcami" w niemieckich mundurach i SS-mańskim tatuażem, a w przypadku ujawnienia odsyłali ich do Związku Radzieckiego.

Niepokojący jest fakt, że niepodległa obecnie Ukraina nie tylko nie potępiła zbrodni ludobójstwa UPA na Polakach z Kresów Wschodnich, ale też ze zbrodni tych nie rozliczyła się. Daje się nawet zauważyć, że za pomocą radia, telewizji i prasy prowadzi się w kraju i za granicą intensywną dezinformację, której celem jest ukrycie przed światem popełnionych przez UPA mordów na polskich ziemiach wschodnich. Zaprzecza się rzeczywistym wydarzeniom albo je zniekształca, usiłuje zaniżyć liczbę ofiar i wykreślić z pamięci tragiczne losy kresowych Polaków. Natomiast "bojowe czyny" tej przestępczej organizacji są gloryfikowane, a nawet poczytywane za męstwo i "zasługę dla ojczyzny". Jest to oczywiste wypaczenie prawdy historycznej i moralnej, która - jak dotąd - z trudem przebija się do świadomości ludzi.

Mordy, grabieże, eksterminacja ludności polskiej nie były przypadkowe. Mieściły się w dalekosiężnych, obłąkańczych wizjach ideologów OUN. Trzeba też pamiętać, że wielu księży greko-kat. odegrało w tym haniebną rolę. To oni w znacznej mierze przyczynili się do ideologicznego przygotowania ludobójstwa, przez propagowanie z ambon cerkiewnych treści potwierdzających polityczne tezy przywódców OUN. Prosty lud wiejski wierzył ich niesamowitym bredniom, że masowe wyrżnięcie Polaków jest słusznym, a nawet pożądanym sposobem

² Trybunał Międzynarodowy po II wojnie światowej uznał wszystkie jednostki SS za zbrodnicze. I nie zmienia wizerunku Dywizji SS "Galizien" fakt, że na kilka tygodni przed kapitulacją Niemcy zgodzili się na przefarbowanie tej hitlerowskiej jednostki (z niemiecką komendą, sztandarami i odznakami) na 1 Dywizję Ukraińską, co w rezultacie zneutralizowało aliantów i uchroniło członków dywizji od poniesienia odpowiedzialności za zbrodnie wojenne. (Przyp. red.).

działania na rzecz "samostijnej Ukrainy". Nawet arcybiskup Kościoła Greko-Katolickiego - Andrzej Szeptycki - osobiście błogosławił w 1942 roku Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Udzielał też błogosławieństwa galicyjskiej dywizji SS, która wraz z częścią unickich kapłanów katolickich prowadziła krucjatę przeciwko narodowi polskiemu. A przecież Bóg, - w którego podobno wierzyli - zabraniał zabijania! - Stąd też kapłani ukraińscy, ponoszą z nielicznymi wyjątkami współodpowiedzialność za zbrodnie ludobójstwa. Jeżeli nawet sami nie mordowali (co również miało miejsce), to przyczyniali się do zbrodni przez zaniechanie, przez szerzenie niechęci, wrogości i nienawiści.

Zbrodnie te powinny być osądzone i potępione tak samo, jak zbrodnie stalinowskie i hitlerowskie.

Zagrożenie życia ze strony nacjonalistów ukraińskich powodowało powstawanie grup polskiej samoobrony. Niektóre organizacje były pod nadzorem AK, inne powstawały samorzutnie. Nie mogły jednak zdecydowanie przeciwstawić się mordom i rzeziom, ponieważ nie otrzymywały znikąd wsparcia, zaopatrzenia i uzbrojenia, podczas gdy UPA była już wtedy dobrze uzbrojona (zarówno przez Sowietów jak i Niemców) posiadała nawet broń maszynową. Władze sowieckie bardziej nawet niż Niemcy odmawiały Polakom pomocy, zalecając jedynie ucieczkę i szybki wyjazd za San.

O gehennie kresowych Polaków mocarstwa zachodnie wiedziały bardzo dobrze, ale przemilczały te fakty ze względów politycznych. Watykan, z papieżem Piusem XII na czele, również nie zabrał głosu na ten temat przez całą wojnę, mimo że abp Szeptycki donosił papieżowi w listach o tragicznej sytuacji Polaków na tej ziemi³.

W tamtym czasie byłem jeszcze dzieckiem. Przeżyłem głęboki wstrząs psychiczny, żyłem jak we mgle, rzeczywistość przedstawiała mi się nierealnie.

Na przykładzie jednej malutkiej wioski kresowej pragnę przedstawić klimat, warunki życia oraz tragizm mieszkańców podczas II wojny światowej.

Upłynęło wiele lat. W świecie zaszły gruntowne zmiany, a wydarzenia sprzed pół wieku wciąż pozostawiają osad wrogości między dwoma sąsiadami. Obecnej młodzieży nie do końca znane są zbrodnicze działania UPA, a przecież powinna wiedzieć, jakie było dzieciństwo i młodość ich rodziców, aby strzegła się przed każdą obłądną ideologią nienawiści.

Czy nie zastanowił nikogo fakt, że jeszcze w 1939 roku Ukraińcy - żołnierze Armii Polskiej - brali czynny udział w obronie kraju przed napaścią niemiecką, a po upływie zaledwie kilku lat - mordowali jako

³ Mark Aarons John Loftus: "Watykańska przystań Nazistów". Akcja Ocalenie, s.262.

członkowie UPA - swoich niedawnych towarzyszy broni? Mordowali ich rodziny, swoich sąsiadów i w ogóle Polaków, nie robiąc wyjątku dla niemowląt, a nawet bliskich krewnych.

Okupacja sowiecka zaktywizowała nacjonalistów. Podczas okupacji niemieckiej - gdy liczyli na okazję utworzenia własnego państwa, przystąpili do barbarzyńskiego programu wyrżnięcia Polaków, a od czasu do czasu także jakichś Rosjan, (ponieważ Żydów pomogli wytepić Niemcom), zgodnie z nacjonalistycznym hasłem "Ukraina t y l k o dla Ukraińców".

Spółeczeństwo ukraińskie jako całość, nie podzielało obranej przez nacjonalistów drogi, pragnęło kompromisu. Niemcy - jak wiemy - traktowali swoich "sprzymierzeńców" z wyższością, a na- wet pogardą.

Sądzę, że warunkiem wzajemnych stosunków między nardo- dami, winien być szacunek dla prawdy. Nie brakuje obecnie Ukraińców, którzy chcieliby rzetelnej współpracy z Polakami i cenią sobie polsko-ukraińskie sąsiedztwo.

W swojej relacji podaję wyłącznie te zdarzenia, w których uczestniczyłem bezpośrednio jako 15-to, 16-letni chłopiec. Wszystkie opisane przeze mnie sceny są autentyczne, a postacie rzeczywiste. Nie zawsze pamiętam ich imiona czy nazwiska. Wielu jednak naocznych świadków jeszcze żyje i może poświadczyć autentycz- ność tego, o czym piszę. Świadomie rezygnuję natomiast z przedstawiania scen zbyt drastycznych, aby nie zdominowały całości⁴.

Ze mną wojna obeszała się nader łaskawie. Ominęły mnie najbardziej okrutne represje okupantów stosowane wobec dzieci i młodzieży, nie straciłem życia, a z najbliższej rodziny banderowcy zamordowali "tylko" dwóch braci mego Ojca. Jestem jednak jednym z tych bardzo licznych Polaków, którym wojna zabrała najbardziej radosny okres dzieciństwa i młodości.

Bardzo ciężko jest powracać pamięcią do tych koszmarnych przeżyć z przeszłości.

*** xxx ***

Działo się to we wsi Bybło, w pow. rohatyńskim, woj. stanisławowskim. Okolice te stworzyły mi - być może złudny - obraz idealnego świata. Przeżyłem tam kilkanaście pięknych i szczęśliwych lat życia, głęboko wtopiony w społeczność, której odwiecznego spokoju nie

⁴ Pisałem ten pamiętnik na przełomie lat 1993/1994 bez żadnego planu, nie myślałem nawet nad jego formą. Napisałem go "jednym tchem", w kilka miesięcy, niemal bez poprawek. Drugie wydanie uzupełniłem uwagami nadesłanymi przez Czytelników. Wielka szkoda, że nie robiłem notatek w czasie wojny.

zmałzył zbytnio nawet wybuch II wojny światowej.

Nie chcę tam wracać, by nie widzieć, że zapisane w mej pamięci piękno zostało obrócone w żalną nicość.

Wieś położona była z dala od głównych szlaków komunikacyjnych i niczym się szczególnie nie wyróżniała. Stanowiła zamkniętą enklawę, stłoczoną w dolinie niedużej rzeczki Bybełki, ale była wsią gwarną, kolorową i wesołą. Okalały ją bujne, zielone łąki. Teren był słabo zalesiony, a w pobliskich stawach z zapadnięciem zmierzchu, a potem przez całą noc, rechotały żaby. To tu, to tam, przelatywały dzikie kaczki i gęsi. Trawy połoninne, umajone kępami kwiatów, tworzyły gamę zieleni, od najciemniejszej do szarozielonej. Krasy dodawały dwa wyniosłe wzgórza - Tronta i Broczowa, na których latem miejscowi gospodarze wypasali bydło. Wzniesienia te widywałem każdego dnia o świcie i o zmierzchu, w blasku słońca i w świetle księżyca. Na Troncie znajdowały się duże złoża wysokiej jakości kredy, gipsu i wapna, wykorzystywane w budownictwie przez miejscowych i okolicznych gospodarzy.

Było tu pięknie o każdej porze roku. Wieczorami mgły stały się po dolinach, a szczyty wzniesień wylaniały się jak wyspy na morzu. Na wiosnę, gdy wszystko zakwitło, góry przekształcały się w bajeczny ogród pełen kwiatów. Gdy kończyło się lato, kolory gasły aż do następnej wiosny. W grudniu bywały 30-stopniowe mrozy, a zaspasy śnieżne powodowały konieczność przekopywania w nich tuneli. Ze szczytu wzgórza widać było doskonale okoliczne wsie: Dytiatyn, Chochoniów, Boków, Szumlany i kilka innych. Trudno znaleźć piękniejszy krajobraz niż ten, w którym spędziłem dziecięce lata. Ten szczęśliwy świat zapachów i kolorów utrwalił się w mojej pamięci na całe życie.

Pobliska góra Broczowa już w 1941 roku spłynęła krwią. Wiosną tego roku nacjonałiści ukraińscy, odbywający służbę w armii sowieckiej, dokonali nocą zbrodni na 15 rosyjskich towarzyszach broni obsługujących tu punkt obserwacyjny. Zrabowali ich umundurowanie i broń.

Środkiem wsi przebiegała zwykła "galicyjska" droga, zwana gościńcem. Uroku dodawały miejscu krzyże na wieżach cerkwi greckokat. i polskiego kościoła wybudowanego tuż przed wojną, głównie ze składek miejscowych parafian. Nieduży kościółek usytuowany był na wzniesieniu i widoczny ze znacznej odległości. wewnątrz stało zaledwie kilka ławek, a ludzie modlili się przed skromnym ołtarzem, którego jedyną ozdobą był obraz Matki Boskiej Bolesnej. W wazonach na podłodze stały zawsze bukiety świeżych polnych kwiatów.

Chór utworzony przy tym kościele szybko się rozwijał. Jego repertuar stanowiły pieśni religijne i świeckie (regionalne i ogólnopolskie). Był znaczącym nurtem życia kulturalnego wsi, wpływał na krystalizację polskiej świadomości narodowej. Obok kościoła

znajdowała się niewielka plebania, a z drugiej strony mały cmentarzyk, tonący w cieniu olbrzymich drzew. Kościół nie zachował się. Został w 1945 r. zburzony przez żołnierzy sowieckich w czasie walk z banderowcami, a następnie rozebrany przez ukraińskich szowinistów.

Po obu stronach głównej drogi usytuowane były zagrody wiejskie, otoczone małymi ogródkami. W samym środku wsi, zasłonięta krzewami morwy, stała dobrze zorganizowana 4-klasowa polska szkoła koedukacyjna, której kierownikiem i nauczycielem w jednej osobie był pan Feliks Wierzbicki.

We wsi naszej mieszkało około 150 rodzin. Miała dwa lub trzy niezłe zaopatrzone sklepy; jeden z nich czynny był całą dobę. Na większe zakupy jeździło się do niedużego miasteczka Bołszowce. Raz w roku wyjeżdżało się na odpust do Kochawiny k/Żydaczowa.

Z wyjątkiem kilku księży i nauczycieli, wieś nie wydała ani poetów, ani innych znanych postaci. Cechowała ją mozaika narodowościowa i wyznaniowa, jak w większości wsi Małopolski Wschodniej. Z tego powodu ludność polska była przez małżeństwa mieszane trochę skoligacona z Rusinami, których było tu kilka rodzin, jak i kilka rodzin żydowskich. Bez względu na narodowość i wyznanie, ludzie żyli tu wspólnie i umierali od niepamiętnych czasów.

Wzajemna pomoc sąsiedzka nie była czymś wyjątkowym. Polacy razem z Rusinami zabawiali się na weselach i podczas świąt religijnych, na które zapraszano się wzajemnie. Wspólnie organizowano też obchody świąt narodowych, szczególnie 3 Maja. Wspólnie śpiewano różne piosenki. Dzieci uczyły się w jednej i tej samej szkole. Nie było podziałów, ani narodowego zacietrzewienia. Nacje te pielęgnowały własne tradycje i zwyczaje, posiadały swoje świetlice, miały własny język, wiarę i rytuał religijny. Grzebani byli na cmentarzach zgodnie ze swoimi zwyczajami. Nikomu nie przychodziło na myśl, że Rusini mogą stać się kiedyś wrogami Polaków. Wśród młodzieży również panowała zgoda i harmonia. Tak przynajmniej było w naszej miejscowości. Rzecz jasna, nie zawsze indywidualne stosunki układały się sielankowo. Do wojny w 1939 roku nie mówiło się na tym terenie o narodzie ukraińskim. Byli Rusinami. Nazwa Ukrainiec jest dosyć świeżej daty. Dopiero II wojna światowa przerwała ustabilizowany tryb życia mieszkańców Bybła, nagle Polacy stali się ich wrogami niemal z dnia na dzień. Dopiero po wybuchu wojny dowiedzieliśmy się, że dotychczasowi sąsiedzi nie są narodowości ruskiej, ale są Ukraińcami. Dotychczas sądziliśmy, że Ukraina jest koło Kijowa. Tam bowiem zwano jej mieszkańców Ukraińcami, a tu Rusinami.

Z małymi wyjątkami, mieszkańcy Bybła żyli skromnie z pracy rąk na roli. Reprezentowali wysoką kulturę rolną, mimo braku prostych urządzeń cywilizacyjnych. Ziemia była bardzo żyzna i urodzajna (tłusty

czarnoziem zmieszany z próchnicą), sady bujne, owoce dorodne. Ludzie pracowali ciężko i uczciwie, od wczesnego świtu do nocy. Wielu gospodarzy uprawiało tytoń na kontrakt. Żyli tym, co wyprodukowali i zebrali z pól, co rośnie w ogrodzie i sadzie, co znajdowało się w kurniku. Dlatego też byli bezmiernie rozmiłowani w swojej ziemi, wpłeceni harmonijnie w cykl przyrody, fanatycznie przywiązani do posiadłości ojców i dziadów. Zrozumiałem to jednak dopiero później. Bogatych było niewielu. Mieszkańcy okazywali sobie jak najdalej posuniętą życzliwość i współczucie. Istniała duża solidarność, polegająca na bezpłatnej pomocy drugiemu gdy znalazł się w trudnym położeniu. Każdy mógł liczyć na taką pomoc bez względu na to, czy był Polakiem, Rusinem czy Żydem. Nigdy w życiu nie udało mi się spotkać ludzi bardziej przykładowych. Kochali dzieci i zwierzęta. Byli trochę oderwani od cywilizacji ale może dlatego zawsze spokojni. Byli katolikami, choć nie wszyscy gorąco praktykujący. Żony były bardzo przywiązane do mężów, żyły cicho i pracowicie w ich cieniu. Decydujący głos należał z reguły do męża. Role męża i żony były rozdzielone i unormowane. Żona dbała o codzienną egzystencję rodziny.

We wsi wszyscy się znali i wszystko o sobie wiedzieli. Większość zwracała się do siebie po imieniu. Mieszkańców cechowało wysokie poczucie godności osobistej. Byli wierni swej narodowości, nigdy się jej nie wyrzekli i na swój sposób utrwalali polskość tej ziemi. Młodzież polska była zrzeszona przeważnie w "Strzelcu". Posiadała własną świetlicę, gdzie w wolnych chwilach czytała książki i gazety. Organizowano w niej także spotkania z okazji różnych świąt, wygłaszano odczyty i pogadanki z dziedziny rolnictwa i chowu zwierząt.

Wychowywany byłem w atmosferze kresowego patriotyzmu, legend rycerskich, mitu polskich ułanów, w kulcie narodowych symboli i bohaterów, Orłąt Lwowskich i Legionów. Ideały narodowe wpajał mi szczególnie Ojciec. Podobnie jak wielu Polaków na Kresach, był wielkim patriotą. Bez tego przygotowania, które wyniosłem z domu, nie byłbym tym, kim jestem.

Ta wieś śni mi się jeszcze po nocach. Została niestety prawie całkowicie spalona i zdewastowana przez banderowców. Z tamtych lat pozostało tylko kilka polskich domostw, których nie spalono ponieważ sąsiedowały z zagrodami Ukraińców.

c.d.n.

Irena Kotowicz
Warszawa

Budujące dzieło życia przedstawiciela rodu Piotrowskich z Czortkowa

Przed ponad 40 laty losy historii rzuciły państwa Wandę i Alfonsa Piotrowskich do Biadolin Szlacheckich w woj. tarnowskim. Pracowali tu jako pedagodzy, rozbudowali miejscową szkołę podstawową, (którą kierował p. Alfons) i lata swego tutaj życia oddali wychowaniu kilku pokoleń młodych Polaków. Zapisali się w sercach i pamięci uczniów i ich rodziców.

Prócz pracy pedagogicznej posiadał p. Alfons drugą jeszcze pasję - malowanie. Spod jego pędzla wyszło ponad 100 płócien. Są to obrazy religijne, historyczne i widoki z natury. Do najcenniejszych obrazów zaliczono *Chrystusa z Calunu*. Oczywiście malował także Matkę Boską z Różą - Hetmankę Czortkowa.

Ciekawe jest otoczenie domu państwa Piotrowskich oraz sama miejscowość, położona na historycznym szlaku Kraków - Lwów, którym podróżowała królowa Jadwiga, a licznie rozsiane na nim kapliczki i krzyże były drogowskazami. Znajdujący się nieopodal zabytkowy krzyż, odnowiony w roku wyboru Papieża - Polaka, liczy już kilkaset lat.

Tematyka i sposób jej wyrażania odślaniają zazwyczaj duszę artysty. Jest to widoczne w malarskiej twórczości pana Piotrowskiego. Pejzaże mówią o wielkiej wrażliwości na piękno przyrody, portrety wybranych postaci (Mickiewicza, Sienkiewicza, Piłsudskiego, Witosa i in.) o umiłowaniu ojczystych dziejów, obrazy świętych - o pogłębionej religijności.

Wieloletni pedagog realizuje obecnie, w innej niż dotychczas formie, swoje powołanie. Poprzez obrazy oraz liczne kontakty z bliższym i dalszym środowiskiem, nadal oddziałuje i inspiruje, nadal wychowuje, aby w pogoni za pieniądzem, i w biegu "do Europy", nie ztracono wartości duchowych, nie zapomniano historycznej przeszłości narodu zacieranej przez pseudo-Polaków. Jego prywatny dom - to miejsce spotkań ludzi wrażliwych i ceniących wartości wyższego rzędu oraz tak bardzo potrzebnej społeczności aktywności twórczej. Jest jak ognisko promieniujące światłem na całą okolicę, zwłaszcza Dębna i Wojnicza, których Ośrodki Kultury ściśle z p. Piotrowskim współpracują.

We wspólnym domu, swoim i żony Wandy, stworzył bowiem p.

Alfons Galerię obrazów, która pierwotnie nosiła imię Ich Obojga, a obecnie jej oficjalna wizytówka mówi, że jest to -

GALERIA "ZAGŁOBY" SIENKIEWICZA
im. Wandy i Alfonsa Piotrowskich
w Biadolinach Szlacheckich

Ale zanim napiszę więcej o samej Galerii, cofnę się do przeszłości czortkowskiego rodu Piotrowskich.

Ojciec - Michał Piotrowski, urodzony jeszcze w połowie XIX-go wieku, posiadał trzech synów: Zygmunta, Alfonsa i Bolesława.

Najstarszy Zygmunt (ur. 19.10.1886 r.), mieszkając w rodzinnym mieście (wówczas pod austriackim zaborem) szukał wolności w ugrupowaniach strzeleckich i w "Sokole". Wraz z innymi młodymi ludźmi dodał do Ameryki, aby szkolić się tam wojskowo w utworzonym z inicjatywy Paderewskiego obozie. Dalsza droga wiodła do Francji, do armii gen. J. Hallera, z którą powrócił w 1919 roku do Kraju w randze kapitana. Walczył w obronie Lwowa pomagając "Orłom", a w 1920 roku z bolszewikami nad Wisłą. W niepodległej Polsce był oficerem zawodowym 23 pp we Włodzimierzu Wołyńskim. W 1939 r. aresztowało go NKWD, a rodzinę zesłano na Sybir. Syn Kazimierz zginął na nieludzkiej ziemi, a żona z córką Marią powróciły po wojnie do Kraju. Córkę brata odszukał p. Alfons przez Czerwony Krzyż; mieszka z mężem w Elblągu.

Brat Zygmunt zginął w Katyniu - a l e w k t ó r y m ? - pyta p. Piotrowski. - *Na tablicy w warszawskim kościele OO. Dominikanów przy ul. Freta nie ma go w spisie zamordowanych oficerów z Włodzimierza Wołyńskiego*⁵.

⁵ W pracy "Ukraiński Ślad Katynia", wyd. MSW, W-wa 1995 r. znalazłam na str. 131 pod poz 89 poszukiwany ślad: (2283) PIOTROWSKI Zygmunt, s. Michała, ur. 19.10.1886, kpt. piech. st. sp. zam Włodzimierz Wołyński.

Na podstawie informacji podanych w powyższej pracy, ustaliłam na przykładzie 8 nazwisk oficerów zam. we Włodzimierzu Woł., że po aresztowaniu wszyscy przetrzymywani byli w miejscowym więzieniu, a 29.04.1940 r. wywiezieni zostali (w grupie 30 mężczyzn) do więzienia śledczego NKWD w Kijowie, gdzie przebywali do maja 1940 r. 8.05 zostali z Kijowa wywiezieni...

Na posiedzeniu Biura Polit. KC WKP(b) w Moskwie już 2.10.1939 r. zdecydowano o losie jeńców polskich: część szeregowych i podoficerów przekazano Niemcom, część skierowano do budowy szosy Nowogród Woł.-Korzec-Lwów, innych odesłano do domów. Natomiast szczególnie aktywny i wysoce patriotyczny element, wyrosły na tradycjach niepodległościowych, postanowiono odizolować w obozach. Kadre dowódczą i kwiat inteligencji - w STAROBIELSKU . Po wypełnieniu tego obozu w listopadzie 1939 r. zaczęto gromadzić oficerów również w KOZIELSKU.

Dopiero u schyłku lata 1991 r. po przeprowadzeniu ekshumacji w

Najmłodszy z braci Bolesław (ur. 19.11.1914 r.), stanął do walki o wolność napadniętego we wrześniu Kraju jako żołnierz Baonu Pancernego Lwów. Droga Bolesława wiodła pod Tobruk, przez pamiętne południowe szlaki polskie - Kołomyja, Pistryń, Kosów, Kuty ... Właśnie w Pistryniu, gdzie przebywał wówczas p. Alfons, wysłany z podchorążówki we Lwowie do pracy nauczy- cielskiej "na południowej bramie KOP-u", miało miejsce ostatnie spotkanie z bratem Bolesławem. Później pod Tobrukiem, padł pod kołami pojazdów pancernych, które zmiażdżyły ciało. Ale piasek pustyni uratował mu życie. Rodzina dowiedziała się przez Czerwony Krzyż, że był ciężko ranny, że był leczony i mieszkał w Londynie. Były to bardzo skąpe wiadomości. Ponieważ ostatni list wysłany do brata w Anglii został zwrócony, p. Alfons nie ustawał w poszukiwa- niu dalszych śladów.

Bolesław zmarł w Londynie w 1994 r. - jak poinformował polski duszpasterz z Południowej Walii, ks. dr Edward Rytko.

Pan Alfons Piotrowski pozostał sam, odeszła bowiem także wierna towarzyszka życia. Oficjalne otwarcie Galerii odbyło się w pierwszą rocznicę śmierci pani Wandy - 13 maja 1996 r.

Obecnie Galeria pracuje "pełną parą". Odbywają się w niej spotkania Grupy Twórczej z Tarnowa, a dzięki tej współpracy ekspozycja poszerzyła się o inne jeszcze eksponaty - koronki, hafty, różne rękodzieła artystyczne. Urządzane są tu wystawy, wieczory poezji, spotkania przy ognisku i tp. W Galerii znajduje się sporo materiałów literackich, z przeszłości i bieżących, z których chętnie korzysta młodzież. Odwiedzają Galerię liczni goście, z kraju i zagranicy.

Pan Alfons nazywa Biadoliny "naddunajeckim Soplicowem", a o odbudowanym w pobliskim Dębnie zamku, (którym także się opiekuje) mówi: *jakby przeniesiony ten nasz, z Czortkowa*. Bo Czortkowanin wszędzie będzie szukał namiastek swego zagrabi- nego miasta.

Na uroczystości otwarcia Galerii postanowiono uczynić wszystko, aby cały majątek służył jej utrzymaniu oraz rodzinnego grobowca. Wszystkie pamiątki, wszystkie ofiary rodzinne pójdą na ten cel.

A jak zaczęło się to niecodzienne dzieło?

Wystawa w Domu Kultury Tarnowskich Zakładów Azotowych (w przedwojennych Mościcach), która była prezentacją twórczości plastycznej środowiska nauczycielskiego z terenu województwa, a później plener zorganizowany w 1979 r. w Sandomierzu, połączony z wystawą malarską nauczycieli Polski Południowej, były tym zaczynem, który dał początek myśli o zorganizowaniu Galerii Piotrowskich.

Galeria w Biadolinach Szl. powstała w Roku Sienkiewiczowskim. Jak każdy prawdziwy podolanin, p. Alfons jest emocjonalnie związany z pisarzem. A ten zaprzyjaźnił się ongiś w Ameryce z emigrantem polskim, Rudolfem Korwin-Piotrowskim, kapitanem powstania listopadowego, co zaowocowało powołaniem do życia na kartach Trylogii postaci imię pana Onufrego Zagłoby. I stąd "Zagłoba" w nazwie Galerii Piotrowskich w Biadolinach.

Za swoje zaangażowanie w działalność społeczno-artystyczną oraz ogrom włożonej w nią pracy, otrzymywał p. Alfons Piotrowski wyróżnienia, dyplomy, medale, zebrał wiele słów wdzięczności, dowodów przyjaźni i sympatii. Wystawiał również swoje prace poza Galerią, w Tarnowie i Krakowie.

Myślę, że będę wyrazicielem całego Klubu "Podole", a już szczególnie zrzeszonych w nim Czortkowiec - dołączając także nasze wyrazy uznania i podziwu dla tak aktywnego życia (p. Alfons - rocznik 1911) i owocnego zagospodarowania czasu na emeryturze. Piękny to przykład życia pełnego treści. Piękny to także pomnik pracy i idei, która przetrwa w Galerii, a którą wyraża - sędzę - przesłanie Gospodarza: *Galeria - nasz dom, będzie Domem Pamięci Bohaterów walczących o niepodległość Ojczyzny, walczących o "DOM - POLSKĘ"*.

Eugeniusz Jaworski
Żagań

Wojenne straty osobowe dwu polskich wsi - Hrycowiec i Kretowiec w pow. zbaraskim

Obie te wsie leżą o 3 km od Zbaraża. Wielu moich rodaków prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, jak wielkie straty osobowe ponieśliśmy w czasie II wojny światowej. Ile rodzin cierpiało niedostatek z powodu utraty bliskich osób, niejednokrotnie jedynych żywicieli. Ile łez wylały matki i żony. Jak ciężko było przeżyć czas po otrzymaniu wiadomości z frontu ... "poległ" lub o śmierci w innych okolicznościach.

Chociaż Hrycowce i Kretowce leżały z dala od działań frontowych, straty osobowe były bardzo duże. O ile z pierwszej wojny światowej nie powróciło do wsi kilku mężczyzn (Muławka, Mrozów czy Sokalski), to liczba ofiar II wojny była niepomniernie większa.

Po klęsce wrześniowej w 1939 roku większa część zmobilizowanych z obu wsi mężczyzn powróciła do swoich rodzin. Ale już po 17 września niektórzy z nich dostali się do niewoli sowieckiej. Pierwszym aresztowanym przez NKWD był NN Jaworski (zmobilizowany do

żandarmerii w Tarnopolu), a już w lutym 1940 r. cała jego rodzina (żona i trójka dzieci) została wywieziona na Sybir.

Następnie aresztowani zostali: Franciszek Tracz i przebywający w jego domu NN Kominek ze Stryjówki (gdzie poszukiwany był przez Ukraińców służących w NKWD). Kominek później wrócił, ale Tracz zginął gdzieś w ZSRR.

W czasie okupacji niemieckiej zapłaciliśmy nową daninę, w postaci młodych dziewcząt i chłopców wywiezionych do przymusowej pracy w Rzeszy. Zabrano wówczas 18 osób; byli to: Walerian Bajcer, Tomasz Biernat, Władysław Biernat, Józef Budzyna, Edward Czechowski, Edward Gretkiewicz, Edmund Jaworski, Józef Kominek, Maria Kominek, Bolesław Machinka, Marian Mazur- kiewicz, Michał Połosa, Władysław Sokalski, Franciszek Tracz, Biśka Urwant, Franciszek Warężak, Kornek Warężak i NN Zębik.

Spośród wymienionych przeżyło wojnę 15 osób. 12 osób powróciło do swoich rodzin a 3 osoby osiedliły się zagranicą: B. Machinka w Australii, J. Budzyna i W. Sokalski w Kanadzie. Zginęli w Niemczech: W. Biernat, E. Gretkiewicz i J. Kominek.

Aresztowani przez żandarmerię niemiecką i zesłani do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu zostali: Kazimierz Bielecki, żołnierz AK z Kretowiec (przeżył i powrócił do rodziny dopiero na Ziemiach Odzyskanych) oraz Karol Bielecki, żołnierz AK z Hrycowiec, który zginął w obozie.

Po powtórny wejściu na nasze tereny Armii Czerwonej w 1944 r., zostało zmobilizowanych do wojska przez "wojenkomat" ponad 30 osób, głównie mężczyzn, w tym kilka kobiet. Większość z nich zginęła na froncie:

a/ z Kretowiec: - Michał Budzyna (zginął pod Warszawą), Michał Buczak, Władysław Gretkiewicz, Józef Gretkiewicz (brat Władysława), Antoni Krasnosielski, NN Mulawka, Antoni Niżnik, Teodor Niżnik, Józef Sokalski, Andrzej Sowa (zginął w ZSRR), Franciszek Sroka, Władysław Urwant, Marian Warężak, Otton Warężak (prawie wszyscy służyli w piechocie);

b/ z Hrycowiec: - Wojciech Czahajda, Stanisław Dudek, Rafał Głowiński, Bronisław Kominek, Antoni Krasnopolski, Antoni Niżnik, Jan Sokalski, Franciszek Sowa, Wiktor Sowa, Antoni Towarnicki, Wojciech Zębik.

Zginęli przypadkowo, podczas niewłaściwego obchodzenia się bronią - Wojciech Kuczer z Kretowiec i Edward Zawierucha z Hrycowiec, b. żołnierze "istriebitielnych batalionów".

Od wybuchu znalezionej na pastwisku pocisku moździeżowego zginęli: 11-letni Stanisław Biernat, 12-letni Stanisław Połosa i 10-letni NN Czechowski.

Kwaterujący w Hrycowcach oficer sowiecki zastrzelił po pijanemu Walka Sowę.

Podczas prac zimowych na kolei w Maksymówce, zginęły tragicznie dwie młode dziewczyny z Hrycowiec: Franciszka i Janina Niżnik.

Z rąk banderowców zginęli następujący mieszkańcy Kreto- wiec:

- Jan Kozak i jego żona Anna (z d. Gieras), którzy udali się do młyna w Klebanówce. Odnaleziono ich ciała ogromnie zmasakrowane. (Zwłoki przywozła do Kretowiec Anna Kapusta, i tam zostały pogrzebane);
- w nieznanym bliżej okolicznościach zginął ur. w 1928 r. Kamil Brągiel.

Osoby czasowo przebywające w Hrycowcach:

- Bolesław Podgórski powrócił z frontu jako inwalida. Poszedł do swojej wsi Dobromirka, i tam zginął z rąk banderowców,
- małżeństwo Rodziewiczowie, przebywający u gospodarza Biernata. Po powołaniu syna do wojska w 1944 r. udali się , do swego opuszczonego gospodarstwa w Dobromirce, i tam zostali przez banderowców zamordowani.

Spośród osób pochodzenia żydowskiego, które przechowywały się w Hrycowcach, zginęli:

- handlarz końmi ze Zbaraża (zwany Biłyk). Został złapany przez ukraińskiego policjanta w Kretowcach i tam zastrzelony, tuż przy szosie prowadzącej do Zbaraża;
- zginęła też młoda dziewczyna, Żydówka ukrywająca się w jamie na cmentarzu. Została wykryta przez patrolujący teren patrol niemiecki i zastrzelona na miejscu.

W czasie podróży wysiedlanych na zachód Polaków, zmarł z powodu mrozu NN Sokalski z Hrycowiec; zwłoki zdażono pochować w Tarnopolu. (Prowadzący pogrzeb ks. Stanisław Klee został w drodze powrotnej z cmentarza napadnięty przez Ukraińców i obrabowany z kożucha, który miał na sobie).

- Drugą ofiarą zmarłą w transporcie był ojciec Kamila Budzyny. Został pochowany na cmentarzu w Krakowie.
- NN Brągiel także zmarł w transporcie. Ciało jego dowieziono do miejsca rozładunku w Linderode (dziś Lipinki Łużyckie) i tam pogrzebano.
- Ostatnią ofiarą był Biernat Polucha. Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się przy podstawianiu wagonu na peron. Wagon został zgnieciony przez parowóz, a spadające skrzynie i worki przygniotły śmiertelnie człowieka.

Takie były losy moich rodaków w czasie ostatniej zawieruchy wojennej - do chwili ich przybycia na nowe miejsce osiedlenia. Zestawienie jest być może niepełne, ale po tylu latach pamięć zawodzi, wielu mieszkańców z obu wsi rozrzucił los po całym kraju, wielu odeszło już na zawsze i trudno ewentualne braki uzupełnić.

Opisując powyższe, pragnąłem bodaj w ten sposób oddać tym ludziom należny szacunek i utrwalić pamięć o nich dla potomnych. Przeżyłem wraz z nimi na podolskiej ziemi swoje najmłodsze i najpiękniejsze lata, a niejednokrotnie także chwile grozy, bóleści i smutku.

Opracowanie to niech będzie także wyrazem współczucia dla moich Rodaków, z którymi wojenny los obszedł się tak okrutnie i pozostawił tyle smutnych wspomnień.

Chciałbym jeszcze przypomnieć, że ze słowami "wujku" i "ciociu" wiązało się wielopokoleniowe pokrewieństwo obu naszych wsi. Używano tych słów powszechnie zwracając się do każdej starszej osoby, nie tylko bliskiej. Był to ładny zwyczaj.

Za: Jerzy J. Szewczyński
"Nasze Kopyczyńce"
Wyd. Heldruk, Malbork 1995 r.

Wspólnota żydowska w Kopyczyńcach
(woj. tarnopolskie)
Relacje naocznego świadka wydarzeń
Isydora Dienera z Nowego Jorku
Cz. V

Na początku lata 1942 r. zaczęły napływać niepokojące wiadomości, że na terenach Ukrainy, Białorusi i Litwy rozpoczęła się masowa likwidacja ludności żydowskiej. Kolejarze z Kopyczyńiec przywieźli wiadomość o masowych deportacjach Żydów do Oświęcimia, Trebinki i Majdanka i o długich pociągach towarowych, wiozących Żydów ze wszystkich zakątków okupowanej Europy do miejsc zagłady na ziemiach polskich.

Również nazwa Bełżec nappełniała każdego panicznym strachem. Ta mała miejscina, położona gdzieś w Lubelskiem, stała się synonimem męczęńskiej śmierci. Zdążyły do niej setki transportów. Fabryka śmierci pracowała tam na trzy zmiany, i z pomocą ukraińskich i litewskich kolaborantów zmieniała ciała ludzkie w proch i popiół. Przypominają się słowa Dantego: *Ci, co tu wchodzą, niech porzucą wszelką nadzieję*. Nikt tego obozu nie przeżył. Przed odwrotem Niemcy zrównali go z ziemią. To piekło do dziś nie wydało swoich tajemnic zagłady, sposobów i techniki masowego mordy.

W połowie września ukazały się na ulicach obwieszczenia o mającej

nastąpić "akcji wysiedlenia Żydów". Zwracano się do ludności aryjskiej, aby nie przeszkadzała władzom w jej przeprowadzeniu. Mienie wysiedlonych miało stać się własnością Rzeszy. Nikt w przesiedlenie nie wierzył, i każdy po swojemu próbował akcję tę przeżyć. Jedni znaleźli schronienie u swoich katolickich przyjaciół, inni zaryli się pod ziemię. Zaczęto budować bunkry. Nie brakowało u nas starych domów z dużymi piwnicami i lochami, pamiętających jeszcze czasy tatarskich, tureckich i kozackich najazdów. Pod niektórymi domami ciągnęły się całe katakumby i przejścia podziemne, do których już od wieków nikt nie zaglądał i były na wpół zasypane. Teraz obudziły duże zainteresowanie. Chęć życia mimo okropnych warunków, przeważała. Każdego ogarniała gorączka budowania bunkra, dającego szansę przeżycia. Budowano je w tajemnicy, nocami, z zamaskowanymi wejściami. W wielu domach piwnic albo w ogóle nie było, albo były bardzo małe, starano się więc budować podwójne ściany. Niektóre bunkry przetrzymały wszystkie akcje i nie zostały odkryte mimo, że Niemcy niejednokrotnie używali tresowanych psów. Często zawodziła wentylacja i ludzie ginęli z braku powietrza. Znam, przykłady kiedy ludzie sami się zasypywali, aby tylko nie dostać się w ręce Ukraińców czy Niemców. Te kryjówki staną się może kiedyś przedmiotem badań archeologów, jak dziś wczesnochrześcijańskie katakumby.

We środę 30 września 1942 r., w jesienny słoneczny poranek miasto otoczone zostało przez jednostki gestapo, żandarmerii i ukraińskiej policji. W akcji brała udział także straż pożarna. Z wrzaskiem: *Juden raus!* wyciągano z domów wystraszonych ludzi. Straż pożarna rąbała siekierami podłogi i ściany w poszukiwaniu ukrywających się, zaglądając nawet do kominów. Znalezionych bito, katowano nawet dzieci. Chorzy i ułomni, nie mogący dotrzeć kroku, likwidowani byli na miejscu. Około 50 osób zostało zastrzelonych podczas próby ucieczki. Tylko kilku udało się zbiec.

Przed wieczorem popędzono około 1200 Żydów na stację kolejową, gdzie stały już przygotowane wagony towarowe. Policja ukraińska znęcała się nad ofiarami niemiłosiernie. Miejscowego rabina i jego żonę bito bez przerwy. Najbardziej znęcał się nad Abrahamowiczem niejaki Marak oraz policjanci Kotyk i Cicko. No i oczywiście Bełko, który nie był policjantem, ale robił to z "zamiłowania", z wrodzonego sadyzmu. Z grupy tej wybrano 70 zdrowych mężczyzn do osobnych wagonów; ich przeznaczeniem był obóz śmierci na ul. Janowskiej we Lwowie. (Żaden z nich nie przeżył). Reszta zatrzymanych, po przymusowym oddaniu pieniędzy i biżuterii, musiała rozebrać się do naga i wtedy zaczęło się piekło. Wtłaczano do wagonów po 100 nagich kobiet, mężczyzn i dzieci. Małe dzieci wrywano matkom i wrzucano do innych wagonów. Kilku ludzi zastrzelono, ponieważ nie było już w wagonach miejsca, a każdy

miał posiadać równą setkę więźniów.

Obładowane tą żywą masą ludzką pociągi ruszyły do Bełżca. Co działo się w tych wagonach, nie mieści się w ludzkiej wyobraźni. Młodemu chłopcu z Chorostkowa udało się podważyć deskę w podłodze wagonu i wyskoczyć nocą. Nagi, doszedł do jakiejś chaty, gdzie udzielono mu pomocy.

W tym samym dniu identyczne akcje odbywały się w Chorostkowie i Probużnej. 1 października 1942 r. władze niemieckie i ukraińskie mogły już pochwalić się przed szefem gestapo we Lwowie Katzmanem, że połowa ludności żydowskiej w powiecie kopyczyńskim została "wysiedlona". Pozostałych Żydów przeniesiono do Kopyczyniec. Przygarnęliśmy krewnych z Husiatyna, Wasylkowiec i Mikuliniec; było nas teraz 13 osób. Im bardziej życie stawało się beznadziejne, tym bardziej każdy z nas chciał żyć i doczekać klęski Hitlera. Niekiedy podczas względnie "spokojnych dni" schodziliśmy się razem i wspominaliśmy dobre stare czasy, śpiewaliśmy nawet zapamiętane szlagiery, a Tonka Schindler czytała na głos swoje wiersze. Dziwne, że nikt z nas nie mówił wtedy o samobójstwie. Mimo głodu, nędzy i czyhającej męczeńskiej śmierci, chcieliśmy żyć! Kwitł nawet wisielczy humor, były plany zdobycia broni. Nikt jednak z aryjskiej strony nie był gotów nam jej dostarczyć, nawet za pieniądze.

Tylko nielicznym jednostkom udało się dołączyć do grup partyzanckich, jakie zaczęły się pojawiać w okolicznych lasach. Dr Ochs, Preminger i fryzjer Michał Glanz wrócili do miasta z lasu po wojnie. Glanz dostał się nawet do Sztabu Partyzanckiego gen. Kowpaka. Michał Hirsz z Kociubiniec podczas jednej z łapanek poderznął gardło ukraińskiemu policjantowi. Wskoczył do Niczławy i mimo pościgu zdołał zbiec do Kociubiniec, gdzie ukryli go znajomi chłopcy nie zważając na to, że Ukraińcy wyznaczili za jego głowę wysoką nagrodę. Po wyzwoleniu służył w Wojsku Polskim, odznaczył się pod Warszawą i pracował w Sztabie marszałka Żymierskiego.

Należałoby jeszcze wspomnieć adwokata Katza. Ktoś doniósł gestapo, że jego żona ma kontakt z jakąś grupą oporu, i rankiem w połowie grudnia Niemcy otoczyli miasto, zażądali od Judenratu natychmiastowego wydania im Katza, jego żony i 10-letniej córki. Katzowie znikli. Gestapo pozostawiło Judenratowi czas do godz. 15.30 i wzięło zakładników. Pamiętam ten chłodny dzień, puste ulice i zaułki, ogromne napięcie czekających na rozstrzygnięcie sprawy i spacerujących Niemców. Pół godziny przed upływem terminu ultimatum Katzowie - dla uniknięcia rozlewu krwi zakładników - zgłosili się. Do dziś widzę tę scenę ... szli trzymając się za ręce, z podniesionymi głowami, ze swoją małą córeczką. Dla nas było jasne, że dziewczynkę będą torturować na oczach rodziców, a potem zgładzą całą

trójkę, bo takie były metody gestapo.

Początek 1943 roku upłynął pod znakiem złudzeń i nadziei. Niemcy ponieśli pod Stalingradem decydującą klęskę. Nie był to jednak koniec hitlerowskiej potęgi, może tylko początek końca. Mocarstwa zachodnie także przygotowywały się do ostatecznej rozgrywki z Niemcami, Włochami i Japonią. Dla nas działo się to wszystko za późno!

Z wiosną nasiliła się akcja ostatecznej likwidacji Żydów w Generalnym Gubernatorstwie. Nasze getto znajdowało się teraz pod ścisłą kontrolą gestapo w Czortkowie. Do tego celu wyznaczono trzech gestapowców. Prawie co tydzień ta trójka zjawiała się w Kopyczyńcach, a jej "gościnne występy" były zawsze połączone z rozlewem krwi. Do dziś pamiętam nazwiska tych zbirów: Ruks, Brettschneider i Paal.

Ruks miał ogromnego wilczura, który rozszarpywał ofiary. Brettschneider był zwyczajnym mordercą, a Paal zabijał bez wahania. Po wojnie sądono go w Niemczech za zbrodnie w Kopyczyńcach. Osobiście świadczyłem przeciw niemu w konsulacie niemieckim w Nowym Jorku. Przesłuchujący mnie prokurator miał dokładną mapę i wiele fotografii z Kopyczyniec, gdyż chodziło zwłaszcza o następujące wydarzenie. Pewnego ranka ta trójka gestapowców zjawiała się w Judenracie i zażądała dostarczenia w ciągu trzech godzin trzech flaszek francuskiego koniaku. Było to zadanie wprost niemożliwe do wykonania. Judenratowi udało się dostać tylko dwie butelki u znajomych Polaków. Wówczas Paal spokojnie wyciągnął rewolwer i zastrzelił na miejscu Halperna z Judenratu, ciało jego zrzucił ze schodów, po czym gestapowcy ze śmiechem odeszli.

15 kwietnia 1943 roku, w piękny wiosenny dzień rozpoczęła się w Kopyczyńcach druga akcja eksterminacyjna. Jednym z głównych jej przywódców okazał się naczelnik poczty Treutner oraz jego żona, która konno szukała Żydów. W ostatecznej likwidacji getta Treutner okazał się jednym z "najdzielniejszych" bohaterów w tej nierównej walce. Zeznawałem po wojnie także i w jego sprawie.

Akcja wiosenna nie była całkiem udana, ponieważ schwytano zaledwie 500 Żydów. Dobrze zamaskowane bunkry uratowały wielu. Gestapo odwołało akcję jak zwykle o godz. 18-tej i zapisali w raporcie, że zgładzono 700 Żydów. Tym razem pod ścisłą eskortą zagnali schwytane ofiary do lasu kolejowego. Były tam nigdy nie używane okopy pozostawione przez cofającą się Armię Czerwoną. Każdy ze skazańców zmuszony był rozebrać się do naga, i każdy otrzymał tylko jedną kulę w tył głowy. Na obrzeżu tych okopów zdarzył się następujący wypadek: Zosia Adler, modystka mówiąca płynnie po niemiecku powiedziała na głos Niemcom przed egzekucją: *Z nami już wojnę wygraliście, ale nigdy jej nie wygracie ze światem cywilizowanym. Wypędzą was zewsząd jak wściekłe psy. Tu znowu będzie Polska!*

Niech żyje Churchill! Niech żyje Roosevelt! Niech żyje Stalin! Wtedy jeden z Niemców ściał jej ostrym bagnetem pierś i zastrzelił. Policja getta zasypała nocą groby.

Po tej krwawej akcji wszyscy doszliśmy do przekonania, że mamy tylko krótkotrwałe odroczenie wyroku. Warunki w getcie stały się wprost nie do zniesienia, każdy dzień przynosił nowe ofiary. Policja ukraińska rozjuszona i zachęcona przez Niemców, strzelała po prostu do Żydów na ulicach. Tak zginął np. Schwartz, zastrzelony bez powodu przez Kotyka, jednego z najbardziej barbarzyńskich Ukraińców. Nawet Myrośko (nazwiska już nie pamiętam), kiedyś członek orkiestry Klesnerów, przekształcił się w potwora. Policja getta, zgodnie z "duchem czasów", także nabrała cech brutalności. Pan Roller stał się niedostępny, kogo nie chciał widzieć, tego zrzucał ze schodów. Taką opinię mieli również: dr Schmetterling, Schindler, Kupfenberg, Festing, Elish, Weber z Chorostkowa i J. Bakfan. Szef policji getta, Yosel Schmetterling, przystojny młody mężczyzna, b. podoficer bratał się z Niemcami i Ukraińcami. W maju 1943 r. po jakiejś libacji znaleziono u niego rewolwer. Współbiednicy nałożyli mu na głowę worek i bili tak długo, aż go uśmiercili.

W drugiej połowie maja nasze getto powiększyło się prawie o 600 więźniów. Warunki życia pogorszyły się katastrofalnie. Wielu przybyszów mieszkało wprost na ulicy i spało na chodnikach, stanowiąc łatwe ofiary dla ukraińskiej policji, która biła ich i rabowała.

W maju nikt już nie spał. W każdym domu czuwaliśmy na zmianę nad słuchując, czy nie zjawia się Einsatzkommando. We czwartek 3 czerwca rozpoczęła się wczesnym rankiem trzecia akcja. Pierwszymi jej ofiarami byli Żydzi z Buczacza, którzy w większości nie znaleźli jeszcze mieszkań. Sami musieli wykopać sobie w lesie rowy, gdzie czekał na nich duży oddział Einsatzkommando. Egzekucje trwały cały dzień. W przerwie obiadowej Niemcy pili piwo, jedli kiełbasę, częstowali ukraińskich pomocników, podczas gdy skazańcy czekali swojej kolejki. W pewnym momencie powstało zamieszanie i kilku osobom udało się zbiec w głąb lasu. Jedną z nich była młoda, osierocona dziewczyna z Buczacza, której udało się nawet do Buczacza wrócić. W jego okolicach działała grupa uzbrojonych Żydów. Alicja (tak się nazywała) przeżyła wojnę i obecnie mieszka w Kalifornii. Napisała książkę w j. angielskim pt. "My name is Alicja" (Nazywam się Alicja), zawierającą opis jej przeżyć. Dokładnie przedstawiła w niej nieludzką wprost egzystencję i cierpienia Żydów w Kopyczyńcach, sceny podczas masowych egzekucji oraz swoją ucieczkę z nad samego brzegu jamy. W realistyczny sposób ukazała wstrząsające sceny masowej egzekucji na skraju lasu, w której w jednym dniu zgładzono 3.000 Żydów. Wielu w tych masowych grobach było tylko lekko postrzelonych, wiele małych dzieci wrzucano

tam żywcem. Przez dwa dni obserwowano, jak groby te podnosiły się. Potem polano je wapnem.

Akcje te przeciągały się - z przerwami - aż do 12 czerwca 1943 r. Podczas masakry ukrywaliśmy się u naszych dawnych sąsiadów na Baworowszczyźnie - państwa Hałambców. 11 czerwca moja Matka upewniwszy się, że w mieście jest spokojnie, wróciła do naszego domu gdzie zaskoczyła ją niespodziewana obława. Do mieszkania wszedł Marak ze straży pożarnej, zawołał zaraz Kocha z niemieckiej żandarmerii, i ten zastrzelił Matkę na progu naszego domu.

Ukrywaliśmy się u Hałambców do 13 czerwca. Nigdy nie zapomnę głosu Bełki, który bębnił w pobliżu naszej kryjówki i ogłaszał, kalecząc język: *Kto ukrywa Żyda, będzie śmierć dla Żyda i tego, co go ukrywa!* Karol Hałambiec także to słyszał, a mimo groźby i otaczających jego dom ukraińskich sąsiadów okazał się prawdziwym dobroczyńcą, spełniając godny podziwu moralny obowiązek. Tymczasem Bełko udał się na własną rękę na poszukiwanie Żydów ukrytych w łanach kukurydzy. Słyszeliśmy, jak wyciągał schowanego w pobliskim ogrodzie Grossa z dwoma córkami.

15 czerwca wróciliśmy do miasta. Zetknąłem się tam z widokami, jakie prześladują mnie do dziś. W naszym domu nieład, wybite szyby w oknach, ściana sieni zbryzgana krwią Matki. Na ulicach i w zaułkach szkło i części sprzętów domowych wymieszanych z pierzem. Prawie wszystkie ulice były białe od pierza, ponieważ intensywnie poszukiwano w betach złota. Nagle doszły do moich uszu dźwięki skrzypiec ... Z niedowierzaniem ujrzałem wśród pierza Walerkę (byłą nauczycielkę, która później zwariowała) grającą na skrzypcach jakąś starą żydowską melodię. Obraz ten zachowa się chyba na zawsze w mojej pamięci. Wychudli ludzie, przesuwali się jak cienie bocznymi ulicami. Na ul. Kolejowej stały furmanki, na które ładowano wszystko co zostało po Żydach Spotkałem Heska Lewitesa, kolegę z gimnazjum. On sam zbiegł podczas prowadzenia Żydów "do grobów" razem z drugim naszym kolegą, Siunkiem Kremerem. Siunek dostał kulę w plecy, a Heskowi chwilowo się udało. Zginął dwa tygodnie później.

Dowiedziałem się, że w pierwszym dniu akcji wielu policjantów getta odmówiło posłuszeństwa. Pierwszym był Sommerstein z Husiatyna. Niemcy i Ukraińcy zakatowali go pałkami. Po tym wydarzeniu większość policji rozbiegła się, schwytanych rozstrzelano. Pan Roller z żoną, córką i bratem uciekł w lasy. Kilka tygodni później wszyscy zostali powieszani na drzewach wokół kryjówki. Weterynarz Resenstock zażył z rodziną i przyjaciółmi truciznę w momencie, kiedy ich bunkier został odkryty. Dra Thalera zabito w trumnie. Była to robota policji ukraińskiej, może według instrukcji dra Kornowy. Heskowi Weisglasowi pozwolono umrzeć razem z Glinią Usliip. Podczas egzekucji trzymali się za ręce,

bo kochali się od dziecka.

Tej nocy spaliliśmy na strychu w jednym z domów przy ul. Kolejowej. Rankiem zobaczyłem przez szparę, że mały, może 10-letni chłopczyk Fresinger błąka się po ulicy. Nagle zjawiło się trzech Niemców, wśród których był też naczelnik poczty Treutner. Schwycił biedne dziecko i zamordował je. Ten ostatni, przenikliwy krzyk konającego dzieciaka brzmi mi dotąd w uszach i towarzyszyć będzie chyba do końca życia. W kilka minut później z tego samego strychu widzieliśmy, jak żydowski chłopak ściągnął z wozu pół bochenka chleba i zaczął go łapczywie jeść. Zauważył to jeden volksduetsch i przywołał dwóch Niemców. Pierwszy trzymał chłopca za włosy, a drugi wpakował mu kulę w tylną część głowy, i tak go zostawili na ulicy z kawałkiem chleba w ustach.

18 czerwca zgromadzono przed budynkiem Judenratu większość Żydów, którzy cudem przetrwali. Pan Kimmel, nowy szef Judenratu przedstawił nam w kilku słowach sytuację. Otworzą - powiedział - getto w dwóch ciasnych uliczkach koło synagogi, gdzie pomieszczą tylko 500 osób. Reszta zostanie przeniesiona do getta w Czortkowie. Z tych zaś, którzy znają się na robotach polnych zostaną utworzone brygady rolne. Za jego radą zgłosiliśmy się do prac na folwarku Baworowszczyzna. Ojciec znał doskonale roboty polne, ponieważ urodził się na folwarku w Peremiłowie.

Getto w Kopyczyńcach zostało zamknięte 20 czerwca 1943 roku. Około 350 Żydów wysiedlono do getta w Czortkowie, gdzie zostali zlikwidowani.

U nas nadzorcą Żydów był B. Jałowski i jego pomocnik Zbyszek Baranowski; obaj byli okrutni. 20 lipca 1943 r. rozpoczęła się ostateczna likwidacja Żydów w Kopyczyńcach. Tylko nielicznym udało się zbiec nocą do lasu na aryjską stronę lub do tych, u których w tak krytycznych chwilach odezwał się głos sumienia. Kilku z nas na folwarku posiadało broń. Obronę zorganizował inż. Hutes. Chociaż sprawa żniw była ważna, policja ukraińska otoczyła nocą na początku sierpnia trzy folwarki na Baworowszczyźnie, gdzie została przez obrońców ostrzelana. Większość z nas w tę księżycową noc rozproszyła się po polach, ale Ukraińcom udało się schwycić i rozstrzelać 20 osób. Ja i ojciec zbiegliśmy pod gradem świszczących kul; siostra nie spała tej nocy na folwarku. Wielu Żydów popełniło samobójstwo, podpalając barak i ginąc w płomieniach.

Po czerwcowych i lipcowych masakrach kilkuwiekowa historia Żydów w Kopyczyńcach dobiegła końca i los społeczności kopyczyńskiej dopełnił się. Policja ukraińska i ukraińscy nacjonaści zabrali się teraz do wyszukiwania niedobitków. Ja i ojciec dwukrotnie uniknęliśmy cudem schwytania. W październiku, na skutek denuncjacji sąsiadów, odkryto u pani Niemaczuk rodzinę Warmanów, (starszy Warman był

kiedyś najlepszym piłkarzem "Trumpel-doru"), i zabito ją z 8-letnią córeczką na podwórzu. W listopadzie 1943 r. schwytano na folwarku Baworowszczyzna 5 dziewcząt, w tym moją siostrę. Zamordowano je po zgwałceniu, i pogrzebano pod dużym dębem obok folwarku.

W styczniu 1944 r. wyłowiono z kryjówek i rozstrzelano pięciu Żydów na Baworowszczyźnie. W tym samym czasie znaleziono 12 Żydów ukrytych w Chorostkowie. Ostatnimi ofiarami holocaustu w Kopyczyńcach były dwie dziewczyny, które ukrywały się u chrześcijan, Rebeka i Frania Nagler.

Z końcem grudnia udało się nam z ojcem przedostać nocą przez pola do Peremiłowa. Przechowywał nas tam Ukrainiec, który kiedyś służył z moim ojcem w austriackim wojsku w Serbii, Bośni i we Włoszech. Ojciec pomógł mu z narażeniem życia przeprowadzić się podczas odwrotu przez rzekę Piawę.

Po wyjściu z tej kryjówki złapali nas trzej banderowcy przebrani w mundury sowieckie. Mieli zamiar nas zabić ale nie umieli posługiwać się niemieckimi automatami. Nocą udało się nam zbiec do Chorostkowa.

Przy życiu pozostało około 100 Żydów. Jedni wyszli z lasów, inni przechowali się u dobrych ludzi. Żadna rodzina nie ocalała w całości. Uratowani rozproszyli się potem po świecie i powoli wymierają. Księża rzym-kat. uratowali tylko jedną rodzinę Buchsbaumów.

Po bohatersku zachowali się: Karol Hałambiec, Mikołaj Antoniów, Longin Gomułkiewicz, Janina Solecka, Władysław Szepelowski, Grocholski, Runiewicz, Mikołaj (stróż w "Sokole"), Niemaczkowa, Jarema Kusunir, Sztokal i wielu innych, których nazwiska zatarł czas.

Uznanie należy się także tym, którzy z bojaźni nie chcieli nas przechowywać, ale nie odmawiali posiłku i noclegu podczas mroźnej nocy w ich stodole. Nigdy nie zapomnę moich dawnych kolegów z ławy szkolnej - Józia Ruńki, Junia Hrymnaka, Piotra Kaszczyszyna, którzy mimo oficjalnych ostrzeżeń i zakazów zjawiali się u mnie z najnowszymi wiadomościami, a nawet pismami podziemnymi, informując co się dzieje w świecie i nie szczędząc pocieszenia.

W samych Kopyczyńcach nowe władze ukraińskie nie znalazły ani czasu, ani chęci postawienia choćby skromnego nagrobka lub napisu na mogiłach ofiar masowego mordu około 7.000 Żydów, byłych obywateli tego miasta i kraju. Obydwa cmentarze żydowskie zostały zaorane lub zburzone. Starych zabytkowych nagrobków użyto do naprawy chodników miejskich. Wiekowa synagoga, która uszła działaniu Hitlerjugend, służy teraz jakiejś "autobazie". W pobliżu masowych grobów powstał nowy dworzec autobusowy. Tragedię lat 1941 -1944 niewielu już pamięta. Związek Żydowskich Uchodźców z Kopyczyniec w Nowym Jorku i Izraelu przestał już istnieć. Istnieje natomiast jeszcze w Brooklinie mała bożnica nazywana kopyczyńska, a na jednym z

większych cmentarzy żydowskich w Nowym Jorku znajduje się oddzielny cmentarz kopyczyniecki, gdzie grzebano dawnych emigrantów.

Dla młodego pokolenia Kopyczyńce - to już pojęcie abstrakcyjne.

Kończąc moje wspomnienia, pragnę serdecznie podziękować ludziom tej ziemi, szczególnie gorąco mojemu drogiemu Koledze z lat szkolnych Józefowi Ruńce, za inicjatywę ufundowania w UDANINIE pamiątkowej tablicy ku czci ofiar wojny, narodowości polskiej i żydowskiej. Serdecznie Bóg zapłać.

Wiem, że już nigdy mieszkańcy naszych stron rodzinnych nie ujrzą w piątkowe wieczory zapalonych świec, nie usłyszą Dawidowych psalmów, nie spotkają starego siwobrodego Żyda w chałacie, potomka narodu, który dał ludziom wyobrażenie Jedyne Boga i zachował język, w którym Chrystus głosił miłość do wszystkich ludów świata.

Nie jestem mistykiem ale pragnę wierzyć, że dusza starego rabina z Kopyczyniec, pogrzebanego na nieistniejącym już cmentarzu, unosi się teraz nad masowymi grobami pomordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci, a w rocznicę masakry czerwcowej i lipcowej zanoszi skargę Chrystusa na krzyżu - Eli, Eli, lamma sabacthani!

* * *

Jadwiga Podleska
Gliwice

Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939-1945) (Uzupełnienie)

Nie dość wyraźnie przedstawiłam okrucieństwa, jakich dopuszczali się obaj okupanci oraz ich współpracownicy - "czerwoni" Żydzi i "czerwono-czarni" Ukraińcy (upowcy) oraz konfidenci, rekrutujący się m. in. z "odpadów" polskiego narodu.

W gettach działał Judenrat. Znałam pewnego Żyda, który po "wyzwoleniu" Kresów południowo-wschodnich w 1944 r. pracował w "Spirtotreście" we wsi Skomorochy. Znaleźli się świadkowie, ocaleni z getta w Tarnopolu lub Zbarażu, którzy wiedzieli, że swoją piękną żonę oddał jednemu Niemcowi za cenę własnego życia. Pewnego dnia paru

Żydów przyszło do biura "Spirotrestu", i zabrało p. Pelca (prawdziwe nazwisko Altman) do pobliskiego lasu; ślad po nim zaginął. Tak karali Żydzi zdrajców.

Jeśli idzie o pozostałe mniejszości zamieszkujące nasze Kresy - Niemców i Ukraińców - to członkowie OUN pozostający pod wpływem jej ideologii i polityki, już we wrześniu 1939 r. szpiegowali na rzecz Hitlera. Sama widziałam w Tarnopolu aresztowanie szpiega z aparatem nadawczym pod drzewem miejskiego parku. Naprowadzali oni m. in. bombowce niemieckie na ważniejsze obiekty, we Lwowie i w innych miastach.

Aktualna historia przemilcza zarówno zbrodnie jakich dopuścili się na Kresach w latach 1939-1946 "czerwoni" Żydzi, jak też zbrodnie ukraińskie, w tym planowe ludobójstwo, bezwzględną eksterminację miejscowego żywiołu polskiego. A przecież pojednanie może dokonać się tylko na podstawie ujawnienia **prawdy** z obu stron.

Prymas 1000-lecia zalecał wzajemne przebaczenie, ale wręcz zabraniał zapomnienia o zbrodni. Bo zbrodnie nie potępiona - zachęca!

Obecnie, tak w propagandzie uprawianej w Polsce, jak i na emigracji, Ukraińcy - nacjonałiści z "Ziemi Halickiej" i z Kanady wszystkie zbrodnie jakich się sami dopuścili (zwłaszcza w latach 1943-1945), przypisują Armii Krajowej, a generalnie polskiemu podziemiu II wojny światowej.

"Kłamstwo powtórzone 100 razy - zamienia się w prawdę". A warunki dla fałszowania prawdy są w Polsce bardzo sprzyjające. Te pokolenia, które kończyły szkoły średnie po 1949 roku, a nie poznały historii od swoich rodziców, (tylko część inteligencji była na tyle światła, by prostować dzieciom sączone w szkołach zakłamania) - słowem większość - nie ma pojęcia o ABC naszych dziejów, zwłaszcza XX wieku. A "puste" miejsca najłatwiej wypełniają nieprzyjaciele i kłamcy.

Zakłamywanie prawdy obraża co najmniej 400.000 pomordowanych niewinnych ludzi na Kresach Południowo-Wschodnich, w tym około 80. księży rzym-kat. - prawdziwych męczenników. A jeśli idzie o pomordowanych Żydów, to sami Niemcy oświadczyli, że bez pomocy Ukraińców "nie załatwiliby ich tak szybko".

Na temat niemieckiej okupacji obszaru Małopolski Wschodniej w latach 1941-1944, zwanego przez okupanta "Distrikt Galizien", słyszało się nieraz opinię, że tam Niemcy zachowywali się łagodniej niż w GG. Nie jest to ściśle! Jak pisałam poprzednio, służbę w Policji pomocniczej⁶, stanowiska sołtysów, wójtów i innych urzędników, pełnili w owych czasach prohitlerowscy nacjonałiści ukraińscy, i to oni wyręczali okupanta w różnych akcjach wymierzonych przeciwko Polakom. (Np.

⁶ "Hilfspolizei". (Przyp. red.).

wyrzucenie proboszcza-Polaka z plebanii we wsi Dołżanka k/Tarnopola spowodowali Ukraińcy). Donosy na gestapo, "pomoc" w sporządzaniu list Polaków do wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy, były także dziełem Ukraińców. I stąd właśnie biorą się głosy, że Niemcy byli u nas "łagodniejsi".

Należy też wspomnieć o losach polskich rodzin pod obu okupacjami, w których jedyną głową rodziny zostawała żona-matka, często z małymi dziećmi. Ich mężowie albo polegli we wrześniu 1939 r., albo byli aresztowani i wywiezieni w głąb ZSRR (nie licząc oficerów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku), albo "wpadli" indywidualnie przy przekraczaniu granicy, znajdowali się w oflagach i stalagach niemieckich lub walczyli w PSZ na Zachodzie. Osamotnione żony-matki musiały nie tylko same wychowywać dzieci i wspomagać starych, często schorowanych rodziców czy teściów, ale jeszcze zarobić pieniądze na utrzymanie rodziny.

Matki małych dzieci nie podlegały (zwłaszcza pod okupacją niemiecką) przymusowi pracy. Poza wyprzedawaniem resztek dobytku, zajmowały się nielegalnym handlem żywnością lub pośrednictwem w tym handlu. W wychowaniu dzieci istniał też problem lepszego karmienia rosnących malców. Drogie było np. masło - wyrzekali się go dorośli, musiało być dla dzieci. To zaś u niektórych wytwarzało postawę: "jestem najważniejszy, mnie należy się to, co najlepsze".

Przypadki dorabiania się na ludzkiej biedzie w takim handlu (a istniał także "cichy" handel złotem, walutą i biżuterią) dotyczyły raczej mężczyzn, tych, którzy byli daleko od ZWZ-AK.

Po zdobyciu Tarnopola wiosną 1944 r. sytuacja matek z dziećmi i starymi rodzicami była nad wyraz ciężka. Poznałam jedną taką "handlową" przygodę z bliska i podaję jako przykład, aby dać wyobrażenie o trudzie i niebezpieczeństwach na jakie narażone były jedyne żywicielki rodzin.

Na przedwiośniu 1945 r. zboże w Tarnopolu było znacznie tańsze niż we Lwowie, i na różnicy cen można było dobrze zarobić. Tymczasem trwała jeszcze wojna i wszystko szło dla wojska (Armii Czerwonej). Obowiązywały przy tym wojenne kary za "lewy" handel żywnością. Transport worków ze zbożem mogły zrealizować kobiety tylko przy pomocy ciężarowego samochodu. Jechała więc cięża- rówka do Lwowa pełna zboża dla wojska, a zawartość była dokładnie odnotowana w dokumentach przewozowych. Kobiety "podłączyły" swoje zboże do transportu (kierownik i szofer byli Polakami), a kontrole na ogół wszystkich worków nie badały. Jechałam właśnie wtedy do Lwowa z tymi paniami. Nieoczekiwanie w zrujnowanym Złoczowie kontrola zatrzymała nasz samochód, a do tego milicjanci rozpoczęli osobistą rewizję pasa- żerów. Mnie i kilku paniom udało się uskoczyć w ruiny

domów i wyjść na szosę prowadzącą do Lwowa. Po dokonanej kontroli (która szczęśliwie nadwyżki zboża nie wykryła), kierowca zabrał nas z szosy w dalszą drogę. Na przedmieściach Lwowa panie wzięły ciężkie worki na plecy i udały się do znanego im miejsca nielegalnego skupu.

Należy wyobrazić sobie, z jakim niepokojem pozostawiały w domu dzieci, niekiedy same, niekiedy pod opieką dziadków czy znajomych, a przecież mogły z takiej wyprawy nie wrócić. Ale nie ryzykować - oznaczało wówczas skazanie na głód całej rodziny. Wywożone do obozów niemieckich czy na daleki wschód ZSRR dzieci w większości nie przeżyły przede wszystkim z powodu głodu.

Wypada też wspomnieć o lekarzach. Wielu było w AK. Pamiętam nazwiska dra Tadeusza Mostowego - chirurga, i dra Szewczyka - ginekologa. Polscy lekarze na ogół zdali egzamin z patriotyzmu. Lekarze Ukraińcy (z wyjątkami, o których pisałam) chętnie przyspieszali zgon chorym lub rannym ofiarom UPA.

Duchowieństwo polskie również zdało egzamin. Gdy polskie wsie napadane były przez banderowców - pierwszym zagrożonym był ksiądz rzym-kat., drugim - polski nauczyciel. Jeżeli nie udało się zlikwidować całej społeczności polskiej, dokonywano porwania księdza i w jakimś lasku poddawano go przed śmiercią wymyślnym torturom. Gdy w listopadzie 1943 r. UPA zamordowała proboszcza w Baworowie (wieś mieszana) - ks. Procyka - to cudem ocalały wikary nie opuścił parafian. Wywiózł tylko do Tarnopola matkę, u której niekiedy nocował, a większość nocy w tygodniu spędzał na dzwonnicy kościoła, i to w mroźną podolską zimę.

Nie słyszałam, aby którykolwiek z proboszczy - Polaków opuszczał swoją placówkę. Było natomiast parę przypadków (wiem o dwóch), kiedy ksiądz grecko-katolicki odmówił nacjonalistom poświęcenia broni do mordowania Polaków, jak też współpracy z UPA. Protestował przeciw eksterminacji ludności polskiej i - zagrożony śmiercią z rąk swoich owieczek - uciekał gdzieś dalej ku zachodowi Polski.

Jako przykład solidarności ludzkiej, zapamiętałam znaną wdowę z Tarnopola, z zawodu krawcową - Antoninę Konikowską. Oferowała swoje mieszkanie na przechowanie kogoś, kto tego bardzo potrzebuje. *Mnie, robotnicy* - mówiła - *mniej grozi niż wam.*

Sprawa walki z wrogiem była na Kresach Wschodnich bardziej skomplikowana niż w GG. Przede wszystkim było zawsze dwóch wrogów: okupant i ukraiński nacjonalista. Ludzie kresowi zdali jednak ten trudny egzamin z wierności Polsce.

Janina Saran
Warszawa

Kilka obrazów z podolskiej przeszłości (w pow. Podhajce) Cz. I

Pochodzę z Sokolnik w pow. Podhajce, woj. tarnopolskim. Urodziłam się na kilka lat przed II wojną światową. Moimi rodzicami byli Helena i Michał Gandurscy. Było nas czworo rodzeństwa.

Ojciec powrócił z wojny w 1946 roku po dojściu do Berlina, odznaczony wieloma medalami, zdemobilizowany jako inwalida wojenny. Mama wcześniej nas osierociła. Z dwójką młodszego rodzeństwa wychowywaliśmy się w internatach. Tam ukończyłam szkołę średnią, maturę zdałam w Liceum Pedagogicznym, a później ukończyłam wyższe studia pedagogiczne.

Nie chcę pozwolić aby zatarły się w mojej pamięci, a dzieci moje nie poznały ciężkich doświadczeń, jakie były moim udziałem podczas II wojny światowej. Tak się złożyło, że nie miał mi kto z rodziny zatroskanej o byt codzienny, przekazać szczegółowych informacji o tragediach przeżywanych przez większość mieszkań- ców Kresów Wschodnich. Obrazy moich własnych przeżyć ukazują mi się niekiedy jak w kadrze. Często powracają z większą ostrością, a w chwilach zadumy sięgam do nich niezatartą pamięcią. Pragnę, choćby nieudolnie, podzielić się niektórymi z nich. Może zainteresują czytelnika z moich stron rodzinnych, może odnajdę w ten sposób swoich ziomków, towarzyszek zabaw lub sąsiadów, z którymi utraciłam kontakt w 1945 roku, od czasu wysiedlenia z rodzinnych stron.

Obraz I. - Bombardowanie.

Byłam 7-mio letnim dzieckiem kiedy obudziły nas w Sokolnikach, w połowie września 1939 r., potworne detonacje w środku nocy. Przerażeni rodzice ściągnęli nas z łóżek, omotali pierzynami i wyprowadzili z domu. Uciekaliśmy w kierunku rzeki Strypy i ukryliśmy się pod rozłożystą gruszą pośrodku naszego ogrodu. Wokół wybuchały bomby, trzaskały łamiące się gałęzie, świstały odłamki, oślepiały błyski wybuchów. Drżeliśmy ze strachu i zimna. Gdy wreszcie nadszedł szary świt i ucichł warkot samolotów, próbowaliśmy wrócić do domu wpadając po drodze w głębokie wyrwy i leje - skutki bombardowania.

Nie wiedziałam wówczas czyje to były samoloty i dlaczego nas

atakowały. Dopiero później dowiedziałam się, że był to nalot bombowców sowieckich w celu zagarnięcia naszych wschodnich ziem na mocy układu Ribbentrop-Mołotow.

Po zakończeniu bombardowania inni ludzie również wyszli z ukrycia i powracali do swoich podziurawionych, nierzadko rozwalonych domów. Nasz dom częściowo ocalał; w gruzach znalazł się tylko jego róg. Powyrywane były natomiast okna, podziurawiony dach.

Nie bacząc na poniesione straty, ludzie popędzili na środek wioski żeby obejrzeć ogromnych rozmiarów lej po potężnej bombie. Pamiętam, jak wszyscy dziwili się głośno rozmiarami powstałego urwiska i komentowali, że chyba zmieściłyby się w nim trzy nasze kościoły.

Jesienią 1939 r. masy wojska i cywilów przemieszczały się przez nasze tereny w kierunku granicy rumuńskiej. Po 17 września, gdy wojska radzieckie przekroczyły granicę na Zbruczu, sytuacja Polaków stała się bardzo ciężka. Bandy nacjonalistów ukraińskich zaczynały palić i mordować polskich osadników w okolicy Podhajec i Brzeżan oraz rozbrajać małe grupy polskich żołnierzy. Oddziały wojska, które nie zdążyły dotrzeć do granicy z Rumunią, spotkał los łagrów, Katynia i Sybiru. Ukraińcy i Żydzi-komuniści pomagali Sowiecom wypędzać właścicieli ziemskich z ich posiadłości. Ludzi aresztowali lub wywozili, a dobytek dzielili między siebie; ziemię przeznaczali na przyszłe kołchozy.

Rozpoczęła się sowiecka okupacja. Polską szkołę zamknięto. Pod koniec września dzieci polskie musiały uczęszczać do szkoły rosyjskiej. Ja także rozpoczęłam swoją pierwszą naukę w j. rosyjskim. Ukończyłam w tej szkole dwie klasy.

W lutym 1940 r. wywieziono na Sybir bogatszych Polaków z Sokołowa (mieszkało tam ponad 300 rodzin polskich) i Sokolnik. Powtórzyły się jeszcze dwie wywózki. W sumie wywieziono z Sokołowa osiemdziesiąt kilka polskich rodzin.

W czerwcu 1941 r. Hitler uderzył na Związek Radziecki. Znow spadło kilka bomb w Sokołowie, Złotnikach i w Podhajcach. Wojska radzieckie uciekały w popłochu, a za nimi gnali Niemcy. Zaczęła się druga okupacja, wcale nie lepsza od pierwszej. Ukraińcy kolaborowali z Niemcami, i wspólnie wysyłali Polaków na przymusowe roboty do Niemiec. W miastach szalały na ulicach łapanki. Rozpoczęła się też nagonka na Żydów.

Gdy Niemcy ponieśli klęskę pod Stalingradem i zaczęli się cofać, Ukraińcy ze zdwojoną siłą i nienawiścią oraz bezprzykładnym okrucieństwem atakowali Polaków. Zanoszone niekiedy skargi do niemieckich placówek policyjnych nie przynosiły rezultatu.

Obraz II. - Front.

Był marzec 1944 r. Niemcy cofali się na zachód, Armia Czerwona ostro następowała. Nad Strypą powstała linia frontu i ludność cywilna musiała się ewakuować. Ja z Mamą i rodzeństwem (ojciec był już wcielony do wojska) uciekaliśmy na tyły działań frontowych w kierunku wschodnim, ponieważ mieszkaliśmy po zachodniej stronie Strypy. Zatrzymaliśmy się około 30 km od Sokolnik w jakiejś wiosce, której nazwy nie pamiętam. Tamtejsi mieszkańcy udostępnili nam swoje zabudowania gospodarcze. Z kilkoma jeszcze rodzinami przeżyliśmy tam, w stodole na słomie, pięć miesięcy aż do sierpnia 1944 roku.

Byliśmy głodni, brudni i obdarci, bez środków do życia. Jediną naszą żywicielką była krowa, którą udało się Mamie zabrać z domu. Dzieci wałęsały się całymi dniami po polach, i pasąc cudze krowy i gęsi zarabiały na swoje utrzymanie. Czasami Mama i starsza siostra skradały się pod osłoną nocy na teren przyfrontowy, aby zabrać z naszej piwnicy cenniejsze rzeczy, a przede wszystkim żywność - solony ser, masło z beczulek lub suszone warzywa. Musiały bardzo się spieszyć, aby świt nie zastał ich w przyfrontowej linii. A potem przez cały dzień wędrowały pieszo do miejsca naszego pobytu.

Pewnego dnia w początkach sierpnia rozeszła się pogłoska, że front został przełamany, Niemcy cofają się na zachód, i można już wracać do domu. Radość była ogromna ale krótka. Drogi i ścieżki przekopane były rowami, pokryte lejami po bombach, zryte okopami, a teren zarośnięty lebiodą i ostami. Na nieuprawianych polach nic poza chwastami nie rosło. Jak tu żyć? Jak tu mieszkać w rozwalonych domach?

Po pierwszych emocjach, po szoku na widok tylu zniszczeń, ludzie musieli zabrać się do pracy. Zbliżała się zima a trzeba było przygotować dach nad głową. Były to głównie kobiety, dzieci i starzy ludzie. Dorosłych mężczyzn nie było! Polacy poszli na wojnę, a Ukraińcy do lasu.

Z naszego domu pozostały tylko okaleczone ściany; nie było okien ani dachu. Postanowiliśmy zrobić go sami ze znalezionych desek i pokryć je słomą. Ale słomy nie było. Żęliśmy więc lebiodę, która wyrosła na wysokość prawie 2 metrów, suszyliśmy ją, wiązali w snopki, i przenosiliśmy na ożebrowane deskami sufity. Ten dach był prawie płaski. Umacnialiśmy jego pokrycie czym się dało, aby zimowe wiatry wszystkiego nie zerwały.

Szeroki pas ziemi, ciągnący się przez położone nad rzeką wsie, był zaminowany. Z tego powodu wydarzyło się wiele nieszczęśliwych wypadków i wiele ludzi zginęło. Mojemu koledze z sąsiedztwa nadepnięta mina urwała nogę, i zanim opatrzone mu ranę zmarł z upływu krwi. Przeraźliwy krzyk chłopca, rozpacz jego matki i widok krwawiącego kikuta do dziś mam żywo w pamięci.

Drugi obraz, który od tamtego czasu stoi wciąż przed oczyma, to napotykanie w zaroślach ciała niemieckich żołnierzy. Ludzie ze wsi

ściągali z nich mundury i buty, które stanowiły wówczas cenną zdobycz, ponieważ uzupełniały braki w ubraniu i obuwiu. Ciała żołnierzy pogrzebali w ziemi.

Odczuwaliśmy brak żywności; nie było zbóż jarych, warzyw i roślin okopowych. Było tylko ręcznie młócone zboże ozime, zebrane tam, gdzie nie zdeptały go frontowe wojska. Młyny były spalone lub rozbite. Żeby zdobyć mąkę, trzeba było jechać wozem kilkadziesiąt kilometrów. Nie traciliśmy jednak nadziei na lepsze dni, ale one stawały się coraz gorsze.

c.d.n.

APEL

W imieniu Polaków - mieszkańców PODWOŁOCZYSK n/Zbruczem w woj. tarnopolskim Klub "PODOLE" w Warszawie apeluje do wszystkich, którym bliskie są jeszcze Podwołoczyska i ich okolice o pomoc finansową na budowę kościoła.

22 marca 1998 roku wkopany został i poświęcony krzyż na placu budowy.

Poniżej podajemy konto bankowe:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo -Wschodnich
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64
PKO BP VI/O Warszawa
Nr 10201068 - 297064 - 270 - 1 - 111
z dopiskiem na **kościół w Podwołoczyskach**.

WŚRÓD WYDAWNICTW

Ukazały się następujące książki:

1. W. Poliszczuk "Zginęli z rąk ukraińskich?", Warszawa - Toronto 1997 r. str. 152;
2. W. Poliszczuk "Posłanie do braci Polaków prawosławnego Ukraińca w 55-tą rocznicę mordów wołyńskich", Toronto 1998, str.60;
3. Czesław E. Blicharski "Petruniu ne ubywaj mene" Czystka etniczna w wykonaniu nacjonalistów ukraińskich na terenie województwa tarnopolskiego. Biskupice 1998, str. 184.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

23 stycznia 1998 roku zmarła **śp. mgr Janina Sawicka** aktywny żołnierz AK, pracownik tajnego nauczania w Czortkowie, po wojnie Redaktor Ossolineum we Wrocławiu. Pogrzeb odbył się 3 lutego 1998 r. na cmentarzu komunalnym w Krośnie.

Czortkowanie

Śp Adolf Siedlecki ur. 18.06.1930 roku w Horodyszczu Wielkim k/Tarnopola, żołnierz - łącznik AK pseudonim "Bliźniak I", po wojnie torturowany więzień Rakowieckiej w Warszawie. Członek Klubu "Podole" Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południo-wo-Wschodnich.

Zmarł 1.04.1998 roku - pochowany na cmentarzu miejscowym w Legionowie.

Żegnamy Go ze smutkiem i szacunkiem dla Jego patriotycznej postawy.

Zarząd i członkowie Klubu "Podole"

LISTA OFIARODAWCÓW

(na działalność związaną z wydawaniem biuletynu)

1. Drożyński Marek	Warszawa	50.00 zł
2. Krasowska Aniela	Opole	50.00 zł
3. Marcinów Franciszek	Uszyce k/Gorzowa Śl.	50.00 zł
4. Siedlecki Adolf	Legionowo	3.50 zł

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

SPIS TREŚCI

Stanisław JASTRZĘBSKI Oko w oko z banderowcami (Wspomnienia małoletniego żołnierza AK). Cz. I.....	1
Irena KOTOWICZ Budujące dzieło życia przedstawiciela rodu Piotrowskich z Czortkowa.....	8
Eugeniusz JAWORSKI Wojenne straty osobowe dwu polskich wsi - Hrycowiec i Kretowiec w pow. zbaraskim	11
Za: Jerzy SZEWCZYŃSKI "NASZE KOPYCZYŃCE" Wspólnota żydowska w Kopyczyńcach (woj. tarnopolskie). Relacja naocznego świadka wydarzeń Isydora Dienera z Nowego Jorku Cz. V	14
Jadwiga PODLESKA Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939 - 1945). Uzupełnienie.....	22
Janina SARAN Kilka obrazów z podolskiej przeszłości (w pow. Podhajce). Cz. I.....	26
APEL	30
WŚRÓD WYDAWNICTW	30
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	31
LISTA OFIARODAWCÓW	31